

Niemcy bez przywództwa i strategii



MAREK BUDZISZ

Były dziennikarz, doradca dwóch ministrów w rządzie Jerzego Buzka, analityk. Obecnie w biznesie. Z wykształcenia historyk.

Wojna na Ukrainie doprowadziła do kryzysu niemieckiej polityki. W nowych realiach myślenie Berlina o sprawach bezpieczeństwa jest anachroniczne

Bruno Maçães, były portugalski wiceminister odpowiadający za politykę europejską, a obecnie popularny komentator napisał, że piętą achillesową Europy nie stał się Brexit, mimo że przez lata napisano o tym tysiące artykułów, ani też nie jest nią powolność brukselskiej biurokracji, ale „problemem Europy są Niemcy politycy i niemiecka kultura polityczna”. Niemiecka polityka, która jego zdaniem jest niestrawną mieszanką arogancji, moralizatorstwa i zakłamania, obecnie jest dość powszechnie krytykowana i wyszydzana w Europie – i to nie tylko w państwach naszego regionu.

Obluda niemieckiej polityki

Wymowny jest pod tym względem artykuł Paula Krugmana, znanego amerykańskiego komentatora i ekonomisty, laureata Nagrody Nobla, który na łamach „New York Timesa” napisał artykuł pod tytułem „Jak Niemcy stały się państwem, które umożliwiło Putinowi działanie”? Powód takiej oceny jest oczywisty. Putin nie byłby

w stanie kontynuować wojny, gdyby Rosja nie była stale zasilana pieniędzmi, których źródłem jest eksport rosyjskich węglowodorów przede wszystkim do silnie uzależnionej Europy, głównie do Niemiec. „Oznacza to, że Niemcy, których przywódcy polityczni i biznesowi twierdzą, że nie mogą obejść się bez rosyjskiego gazu ziemnego, mimo że wielu ich ekonomistów się z tym nie zgadza” – pisze Krugman – „w rzeczywistości stały się głównym państwem wspierającym Putina. To wstyd; jest to również niewiarygodnie obłudne, jeśli wziąć pod uwagę najnowszą historię Niemiec”. O obłudzie niemieckiej polityki świadczy według Krugmana przede wszystkim to, że Berlin był przez lata ostrzegany przed nadmiernym uzależnieniem od Rosji, ale te wszystkie rady w sposób świadomy Niemcy zignorowali, kierując się wąsko rozumianym, krótkoterminowym zyskiem.

Dzisiejsza niechęć kanclerza Scholza do ostrzejszych antyrosyjskich sankcji, domaganie się okresów adaptacyjnych dla niemieckiego przemysłu i odsuwanie ich obowiązywania w czasie zupełnie nie

koresponduje, zdaniem Krugmana, z radami Berlina dla państw południa Europy w czasie kryzysu 2008 roku. Gdy chodzi o interesy Niemiec i konkurencyjność ich sektora przemysłowego, Berlin opowiada się za możliwie łagodnym podejściem i apeluje o łagodzenie szoków, podczas gdy w czasach kryzysu Niemcy domagali się od Grecji czy Portugalii, jak przypomina Krugman, jednorazowych, drastycznych posunięć oszczędnościowych, wdrażanych niemal natychmiast. Berlin argumentował wówczas, że terapia szokowa „mniej boli”, jeśli nie jest rozciągnięta w czasie, a także nalegał na głębokie cięcia wydatków, nie zwracając uwagi na to, że skokowy wzrost stóp procentowych greckiego długu był w większym stopniu spowodowany krótkotrwałą paniką rynkową niż czynnikami fundamentalnymi. Polityków w Berlinie nie wzruszało też wówczas to, że greckie PKB w wyniku zalecanych przez nich kroków skurczyło się w ciągu roku o 21%, a stopa bezrobocia wzrosła do 27%. „Ale podczas gdy Niemcy były gotowe narzucić katastrofalną politykę gospodarczą i społeczną krajom, które, jak twierdziły, były nieodpowiedzialne w pożyczaniu” – konkludował swe oskarżenie Paul Krugman – „to nie chcą nałożyć na siebie samych znacznie mniejszych kosztów, pomimo tego, że ich polityka energetyczna w sposób niebudzący wątpliwości była w ostatnich latach nieodpowiedzialna”.

Ku gospodarczej katastrofie

Gdyby w obecnym kryzysie chodziło wyłącznie o reputację niemieckiej klasy politycznej i znaczenie Berlina w europejskiej polityce, to problem nie byłby wart uwagi, a spadek znaczenia Niemiec udałoby się zapewne wkrótce przezwyciężyć. Wydaje się jednak, że mamy do czynienia z kry-

zysem całego modelu niemieckiej gospodarki, która swe przewagi komparatywne i konkurencyjność na światowych rynkach budowała na bazie dostaw tanich rosyjskich surowców energetycznych. Obecnie, jak niedawno przypomniał „Wall Street Journal”, ceny energii są w Europie znacznie wyższe niż w Stanach Zjednoczonych czy w Azji, a to w dłuższej perspektywie odbije się na zarówno na perspektywach wzrostu gospodarczego, jak i na możliwościach funkcjonowania całych gałęzi europejskiego przemysłu, które są z natury energochłonne. Producenci nawozów mineralnych i stalownie już zatrzymują swe linie. Podobny los czekać będzie przemysł chemiczny i kolejne gałęzie wytwórczości.

Według Krugmana Berlin był przez lata ostrzegany przed nadmiernym uzależnieniem od Rosji, ale te wszystkie rady w sposób świadomy Niemcy zignorowali

Co gorsza, cała koncepcja europejskiej transformacji energetycznej oparta na idei wykorzystywania rosyjskiego gazu ziemnego w obecnej sytuacji, kiedy na europejskim rynku jest on trzykrotnie droższy niż w Stanach Zjednoczonych, wydaje się pozbawiona ekonomicznego sensu.

Z punktu widzenia gospodarki niemieckiej, która – jak uważa wielu ekspertów – w tym kwartale już znajdzie się w recesji, sytuacja jest wręcz tragiczna.

Bez tanich rosyjskich surowców energetycznych jej konkurencyjność na rynkach światowych wyparowuje, co oznacza w dłuższej perspektywie, że albo fabryki w Niemczech będą zamykane i przenoszone w inne rejony świata, albo, co trudno sobie dziś wyobrazić, Niemcy zgodzą się na obniżkę wynagrodzeń i poziomu życia. Oczywiście można wrócić do energetyki jądrowej, ale Scholz nie chce pójść tą drogą. Ostatnio odrzucił propozycję własnego ministra finansów, by w obliczu szalejących cen i zapewne trudnej zimy nie wygaszać pracujących jeszcze elektrowni. Powód jest dość oczywisty. Nie

Albo fabryki w Niemczech będą zamykane i przenoszone w inne rejony świata, albo, co trudno sobie dziś wyobrazić, Niemcy zgodzą się na obniżkę wynagrodzeń i poziomu życia

chodzi w tym wypadku wyłącznie o proekologiczne nastawienie niemieckich wyborców, ale o coś zupełnie innego. Ewentualny powrót Europy do energetyki jądrowej niweluje do zera przewagi konkurencyjne niemieckiego przemysłu, bo to Berlin, mając Nord Stream 1 i 2, a także specjalne relacje z Moskwą, mógł pozyskiwać surowce energetyczne taniej niż inne państwa kontynentu. Rozwiniętą energetykę jądrową mają też inni, w tym aspirująca do Unii Ukraina, co oznaczać będzie – jeśli by nasz kontynent poszedł

tą drogą – że nie dostęp do taniej energii będzie czynnikiem przesądzającym o decyzjach inwestycyjnych, a inne zasoby, w tym dostępna, dobrze wykształcona i tania siła robocza. Na tym polu Niemcy nie będą w stanie wygrać w dłuższej perspektywie walki konkurencyjnej. A zatem, aby myśleć o utrzymaniu swego potencjału gospodarczego, potrzebują nadal dużej ilości tanich surowców energetycznych. To może zapewnić im tylko Rosja, stąd troska o to, aby Moskwa nie przegrała wojny na Ukrainie.

Czy przyjdzie przełom?

Zasadne jest więc pytanie, czy zadeklarowana przez kanclerza Scholza polityka *Zeitenwende* – polegająca na zwiększeniu wydatków na obronność do 2% PKB i stworzenia specjalnego, wartego 100 mld euro, funduszu przeznaczonego na modernizację niemieckich sił zbrojnych – w ogóle zostanie wdrożona. Wątpliwości co do tego ma Aylin Matlé, ekspertka pracująca w DGAP (Niemieckim Towarzystwie Polityki Zagranicznej). Przypomina ona konsensus monachijski z 2014 roku, kiedy to w trzech wystąpieniach (prezydenta, minister obrony i ministra spraw zagranicznych) po rosyjskiej aneksji Krymu i agresji w Donbasie przedstawiciele niemieckiej elity politycznej zapowiedzieli politykę większej odpowiedzialności za kwestię bezpieczeństwa europejskiego i stan relacji transatlantyckich. Z ówczesnych deklaracji niewiele w kolejnych latach pozostało, co zdaniem Matlé skłania do postawienia fundamentalnie istotnego w tym kontekście pytania – czy niemiecka kultura strategiczna daje rękomię zmiany niemieckiej polityki obronnej i zagranicznej? Badaczka jest co do tego sceptyczna, a jej opinie podzielają

niektórzy niemieccy eksperci, którzy uważają, że nawet skokowy wzrost wydatków Berlina na bezpieczeństwo nie musi wcale przełożyć się na zbudowanie sprawnych i będących w stanie adekwatnie reagować na wyzwania sił zbrojnych.

Kwestia bowiem nie leży w braku środków, ale ewidentnych niedostatkach niemieckiej kultury politycznej, zdominowanej przez nastroje pacyfistyczne i programowo uciekającej od myślenia w kategoriach strategicznych. Ten niewątpliwym kryzys międzynarodowego autorytetu Niemiec powoduje też narastanie wątpliwości co do przyszłości Unii Europejskiej, która,

Ewentualny powrót Europy do energetyki jądrowej niweluje do zera przewagi konkurencyjne niemieckiego przemysłu

jak napisał Jeremy Cliffe na łamach lewicowego „New Statesman”, powinna z obecnego kryzysu wywołanego agresją Rosji na Ukrainie wyjść wzmocniona i zacząć podążać drogą ku strategicznej suwerenności. Tylko że dziś niewiele wskazuje, by idea, o której wiele mówiono w stolicach zachodniej Europy w ostatnich latach, w ogóle zaczęła się materializować. Zdaniem brytyjskiego publicysty, głównym powodem tej rozczarowującej bezczynności polityków – którzy przez lata byli orędownikami pogłębienia europejskiej integracji, by Unia stała się samodzielnym czynnikiem w grze mocarstw – są stare mapy mentalne. Politycy są przyzwyczajeni do formuły działania, która w nowych czasach nie tylko nie odpowiada na rysu-

jące się wyzwania, ale również nie zaspokaja aspiracji wschodzących graczy. Berlin i Paryż, mówiąc o pogłębieniu europejskiej integracji do stopnia, który pozwoliłby uzyskać suwerenność strategiczną kontynentu, mają na myśli model, w którym to Zachód wyznaczałby, dokąd ma podążać Wspólnota, a Wschód bez sprzeciwu i w pokorze przyjmowałby wyznaczoną mu rolę *junior partnera*. Tyle że model tego rodzaju mało już kogo interesuje.

Trudno nie zgodzić się też z opinią Hansa Kribbego i Luuka van Middelaara, którzy na łamach „The Economist” napisali, analizując sytuację Ukrainy, że kwestie związane „z bezpieczeństwem są obecnie na pierwszym miejscu, a Unia Europejska nie może być jego dostarczycielem, zwłaszcza wobec Rosji”. Ostatnie decyzje Finlandii i Szwecji w kwestii złożenia wniosku akcesyjnego do NATO są potwierdzeniem tego rodzaju ocen, najłagodniej mówiąc – potwierdzających brak wiary w unijną politykę budowania własnego potencjału bezpieczeństwa.

Anachroniczny Berlin

Wojna na Ukrainie doprowadziła do oczywistego kryzysu niemieckiej polityki, a co za tym idzie – znaczenia Berlina. Podważone zostały zdolności niemieckich elit do oceny sytuacji, a przede wszystkim intencji takich graczy jak Rosja. Zakwestionowany został niemiecki model gospodarczy, co w dłuższej perspektywie mieć może konsekwencje głębsze, niż dzisiaj sądzimy. Niemiecka kultura bezpieczeństwa w nowych realiach wydają się anachroniczne i nie odpowiadają duchowi nadchodzących czasów. Nawet w fundamentalnej kwestii bezpieczeństwa atomowego jedynym, o czym dziś są w stanie

myśleć przedstawiciele niemieckiego establishmentu, jest – jak powiedział Wolfgang Ischinger – pozyskanie francuskich gwarancji nuklearnych, które mogłyby zastąpić amerykańskie, coraz mniej pewne i coraz mniej pożądane.

Czy ten wielowymiarowy kryzys niemieckiego przywództwa doprowadzi do nowej jakości, ukształtowania się nowego układu sił i lepiej skalibrowanych, bardziej partnerskich relacji? Wielu publicystów jest zdania, że tego rodzaju ewolucja relacji Niemcy-Europa jest nieuchronna.

Jednak w świetle dotychczasowych doświadczeń myślenie to wydaje się nadmiernie optymistyczne. Zamiast nowej, skonsolidowanej Europy możemy mieć raczej do czynienia z narastającymi problemami, których nie będą w stanie rozwiązać elity państw Zachodu, przede wszystkim Niemiec, odwołujące się do starych, dziś już nieadekwatnych rozwiązań. A to oznacza, że musimy przygotować się nie na Europę, która wybija się na strategiczną suwerenność, ale na kontynent bez przywództwa i bez strategii.